

Wracamy nad Wartę

Aleksander Lenizion
 inżynier architekt

Zbliża się 10 rocznica wyzwożenia naszego miasta i w związku z tym nie od rzeczy będzie zadać sobie pytanie, czy w zakresie odbudowy i rozbudowy naszego miasta uczyniliśmy wszystko, na co było nas stać, czy wykorzystaliśmy wszelkie możliwości, jakie daje nam socjalizm, czy budujemy w sposób planowy, czy budujemy właściwie.

W sprawie potknięć

Odpowiedź na to pytanie uzyskaliśmy częściowo w referacie na sesji MRN poświęconej sprawom rozbudowy Poznania. Odpowiedź ta nie daje niestety podstaw do zadowolenia. Trudno bowiem cieszyć się z tego, że w dotychczasowej pracy nad rozbudową miasta było wiele potknięć i przypadkowości, że w tak poważnej pracy nie zdobyliśmy się na planowość i nie potrafiliśmy stworzyć skończonych, doskonałych w swoim wyrazie architektonicznym i swej wartości użytkowej zespołów urbanistycznych.

Co zrobiliśmy np. ze wzgórzem koło tzw. Fortu Grolmana?

Zdrowy rozsądek nakazywał wykorzystanie tego wzniesienia jako doskonałego akcentu plastycznego pod zabudowę. Spróbujmy wyobrazić sobie — a nie trudno to uczynić, znając z opisów i fotografii np. Uniwersytet na Wzgórzach — minowskich w Moskwie — jak wzbogacone byłoby nasze miasto posiadaniem pięknej budowli na uporządkowanym wzniesieniu, z którego otwierałby się widok na Wilgę i terenu nad Wartą!

Niestety — wzniesienie postanowiono zniwelować. Dziś — może wskutek zrozumienia popełnionego błędu — zwozi się tu ziemię na powrót, ale czy daje to nam świadectwo planowej, przemyślanej roboty? Nie jest to zresztą jedyny przykład.

Marzenia urbanistyczne

Każdemu, kto z historycznych zapisów obserwował rozwój Poznania — zastanowi na pewno fakt cofania się miasta na zachód, fakt odwracania się miasta plecami do rzeki. Może było to uzasadnione kilkaset lat temu, gdy Warta groziła wylewami, a nie umiano wówczas z tym sobie poradzić. Dziś patrzymy na te sprawy inaczej i już przerzucamy przez rzekę nowoczesne mosty, przeciągamy tam linie tramwajowe, w Staroście budujemy fabryki, a Rataje chcemy zabudować 100 tysięczną dzielnicą mieszkaniową o pełnym, komfortowym wyposażeniu, godnym socjalistycznego miasta. Niestety — zapomnieliśmy przy tym o Warcie, która stanowi przecież dogodny, a nie wykorzystany element urbanistyczny.

Spróbujmy znów wyobrazić sobie — a będzie to niezbyt trudne, bo znamy przecież doświadczenia ubiegłych lat — proces rozbudowy prawobrzeżnej części miasta. Oto powstają tam najpierw fabryki i pomocnicze warsztaty pracy. Równocześnie zwróci się teren w kolektory i wodociąg, nasycą środkami lokomocji i obiektami użyteczności publicznej. Myśli się również o nowoczesnym osiedlu na Ratajach. Wprawdzie nikt jeszcze nie pracuje nad projektem tego osiedla, ale wyobraźmy sobie, że wspinał się zrywem „szturmowczy” pokonano czas i osiedle nie tylko zaprojektowano, ale i zbudowano. Co się wówczas dzieje? Wówczas będziemy

mieli z jednej strony urbanistyczny zespół prawobrzeżnej dzielnicy, a z drugiej mniej lub więcej szczęśliwie rozwiązany kompleks śródmieścia. Natomiast w środku płynąć będzie Warta, jak dziś — spokojnym, leniwym nurtem pośród dzikich chaszczy, bagien, śmietników i urbanistycznej... pustki.

Ryby nie mają głosu

Warcie potrzebna jest dokumentacja techniczna, potrzebne kamienne obmury, piękne mosty, nadbrzeżne bulwary i parki. Wprawdzie ryby mogłyby mieć do tego pewne zastrzeżenia, bo zawsze wołać dzikie krzaki nad wodą, ciche zatoczki i mielizny, może przeciwni byłoby wędkarze albo ci, co się boją śmiałych rozwiązań, ale podobnie, jak ryby, tak i każdy nie myślicy kategorii piękna zespołu z celowością powinni zgodzić się z faktem, że w tym wypadku nie może mieć głosu.

Do głosu powinna dojść tu — obok pracy planisty i architekta — również inicjatywa społeczna mieszkańców, którzy na pewno pomogą w uporządkowaniu i zadziwieniu leżących ugiem nadwarczańskich brzegów. Czas wracać zająć się tym problemem — opracować kompleksy urbanistyczne naszego miasta: Rataje, Wartę, Śródmieście, okolice tzw. fortu Grolmana i inne tereny, abyśmy w przyszłych latach nie staneli wobec zarzutów przypadkowości i roztrwonienia możliwości, jakie mamy dziś w dziesiątym roku istnienia naszego ludowego państwa.

Pod adresem komisji

Zygmunt Skrzydlewski
 inżynier architekt

Istnieje pewna rozbieżność między teorią a praktyką budownictwa w naszym mieście. Teoretycznie — najlepsze efekty urbanistyczne i gospodarcze widzimy wówczas, gdy projektujemy zabudowę kompleksową, obejmującą nie jeden czy dwa budynki, ale całą ulicę, plac czy inny określony teren jako całość. Niestety — w praktyce odbiegamy od tego wzoru dość daleko. Nie widać, abyśmy planowali rozbudowę Poznania jakimiś całościami, abyśmy w naszych projektach urbanistycznych myśleli o zespołach przestrzennych. Wyjątek stanowi tu jedynie plac Wielkopolski i Stary Rynek. Poza tymi zespołami — planujemy luźno, „na wyrzutek”, rozpraszamy nasze wysiłki po różnych dzielnicach miasta. Wymowną ilustrację tego stanu rzeczy jest Śródmieście — zamiast z placu Wolności i ul. Czerwonej Armii stworzyć pewien skończony zespół urbanistyczny — budujemy tzw. „plombę” dostosowując je tylko do sąsiednich, najbliższych położonych budynków, nie myśląc natomiast o całości placu i sąsiadującej z nim zabudowie.

Istnieje jeszcze jeden problem — zabudowy wlotowych arterii miasta. Podczas gdy np. w Warszawie główne ulice wbiegające do miasta są już zabudowywane w przemyślny, planowy sposób — u nas o tej potrzebie nie myśli się zupełnie. Przykładem spo-

* * *
 Z zadowoleniem powitać należy fakt poważnego wzrostu zainteresowania społeczeństwa poznańskiego sprawami związanymi się z rozbudową miasta, jego rozplanowaniem urbanistycznym i architekturą. Coraz częściej w różnych środowiskach toczą się dyskusje i polemiki na temat perspektyw rozwojowych miasta oraz sposobów rozwiązania takich czy innych założeń urbanistycznych. To, że dyskusje te odślaniają równocześnie popełnione w tym zakresie błędy, zapisac należy raczej na dobro sprawy — tym bardziej że z błędów tych zaczyna się już wyciągać odpowiednie wnioski na przyszłość.

Poniżej zamieszczamy wypowiedzi przedstawicieli Związku Literatów oraz dwu architektów poznańskich na temat rozbudowy miasta i jego wyglądu architektonicznego. Wypowiedzi te stanowią uzupełnienie fragmenty dyskusji na ostatniej sesji Miejskiej Rady Narodowej w Poznaniu.

że być ul. Dąbrowskiego, która na odcinku Ogrody — Przybyszewskiego przedstawia obraz kompletnego zaniedbania i braku jakiegokolwiek koncepcji urbanistycznej.

Pracując nad zagadnieniem rozbudowy Poznania, jakże często zapominamy również o stałej, codziennej „kosmetyce” miasta. Każdy niemal wie, że w rezultacie partery domów przedstawiają często dziwną pstrokaciznę niewiązącą się plastycznie z wyglądem ani sąsiedniego parteru, ani górnych pięter. Zupełnie nie pałnuje się nad sprawą wywieśzania reklam.

Przypatrzmy się np. figurze na klombie ogródka Jordana przy ul. Rataje — niejednego uderzy na pewno fakt, że do zabiegów kosmetycznych naszego miasta używamy niekiedy kosmetyków najgorszego gatunku. To samo odnosi się do wielu wnętrz lokali restauracyjnych, sal dancingowych i in. Nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, że miasto nasze nie posiada np. ani jednej kawiarni, do której bez rumieńca wstydu moglibyśmy wprowadzić czułego na sprawy estetyki gościa z innego miasta.

Byłoby wskazane, aby tymi sprawami zajął się komisja urbanistyczno-architektoniczna, o której powołaniu czytaliśmy w jednym z ostatnich numerów „Głosu Wielkopolskiego”.



W bieżącym roku rozpoczęte zostaną prace nad uporządkowaniem ulicy Czerwonej Armii. Ilustracja nasza przedstawia jedną z alternatyw urbanistycznego rozwiązania części tej ulicy, mianowicie odcinka od ulicy Kantaka do ulicy Rataje. Na samym początku z lewej strony — budynek, w którym obecnie mieści się cukiernia „Czysta”. Coś w rodzaju wieżyczki w głębi rysunku — to projekt architektoniczny rozwiązania narożnika ul. Czerwonej Armii i Rataje po stronie Biblioteki Uniwersyteckiej.

Jak widać, przebudowa ulicy Czerwonej Armii traktowana jest (choć na pewnych odcinkach) kompleksowo. Niestety, nie można tego powiedzieć o placu Wolności. Dla przykładu — na narożniku ul. 27 Grudnia i Rataje wzniesiony zostanie budynek mieszkalny. Z drugiej strony od al. Marcinkowskiego — zbudowany będzie (na istniejącym parterze) gmach nowego hotelu. Dla urbanisty jest rzeczą nie podlegającą dyskusji (dla nas też), że cały ten kompleks budynków powinien być szarmonizowany w jedną zamkniętą całość. Niestety — brak kompleksowej dokumentacji (każdy budynek projektuje się osobno) może doprowadzić do tego, że ta urbanistyczna harmonia nie wyjdzie, że cały plac Wolności będzie pod względem architektonicznym w „kratce”.

Ku miastu przyszłości

Dowiedzieliśmy się na sesji MRN, że dla Poznania, będącego jednym z większych placów budowy w Polsce i jednym z ciekawszych terenów do przekształcenia urbanistycznego, istnieją długofalowe, ambitne plany rozbudowy. Plan te są oparte na pewnych zasadniczych kryteriach, jak wpływ rozwoju przemysłu na wygląd miasta, strefowanie zabudowy, zasada koncentracji inwestycji dla uzyskania skończonych efektów gospodarczych, czy wreszcie kompleksowy charakter zabudowy mieszkaniowej.

Nie zapominać o kulturze

Są to sprawy słuszne — zastrzeżenia i to dość ważne; budzą jednak wnioski, wyciągane z tych zasad w realizacji.

Referat, wygłoszony na sesji MRN, świadczy, wbrew wszystkiemu, co na jego obronę mogą powiedzieć autorzy, o zjawisku, które obserwujemy nie od dziś: o wyznaczeniu kultury i perspektywom jej rozwoju na terenie miasta stała się rolę kłopotliwego kopciuszka. Oto przykłady:

W zakresie inwestycji kulturalnych, na które zostały wydane lokalizacje, przewidziana jest budowa 8 obiektów. Okazuje się jednak, że wśród nich trzy stanowią przedsiębiorstwa typu noclegowo-hotelowego. Doceniamy wagę tych inwestycji, uważamy jednak, że ich związek z kulturą jest nader luźny. Z pozostałych dwie inwestycje dotyczą szkolnictwa artystycznego (Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych i szkoła baletowa). W zakresie usług kulturalnych, a więc spraw naj-

Leszek Prorok
 literat, członek Komisji Kultury przy MRN

istotniejszych dla ludności, plan wymienia zaledwie trzy, z tego jedną raczej marginesową (dekoratornia Opery) i tylko dwie zasadnicze: kino na Wildzie oraz rozbudowę Muzeum.

Tymczasem sprawy życia kulturalnego w Poznaniu żądają wielu zasadniczych rozstrzygnięć w zakresie budownictwa i to zarówno w planie najbliższym, jak i w planach perspektywicznych. Przykładu jaskrawych zaniedbań dostarcza niezadowolający obecnie stan teatrów.

Teatralny „wóz Drzymały”

Poznań — to ośrodek wielkomiejski o najgorszym w Polsce — poza Gdańskiem — salach teatralnych. Nasz główny teatr dramatyczny, Teatr Polski, to budynek sprzed lat 80, teatralny odpowiednik wozu Drzymały, zasłużony ongiś instrument w walce o zachowanie narodowej kultury, dziś przestarzały i ciasny, jeśli chodzi o część roboczą, jako też o miniaturę widowiska (576 miejsc). Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja w Teatrze Nowym (429 miejsc) czy w Komedii Muzycznej (349 miejsc). Tymczasem w planach 400-tysięcznego miasta, które ma wzrosnąć wkrótce do 600 tys. mieszkańców — o sprawach teatru ani słowa.

Poznańowi niezbędny jest nowy teatr w śródmieściu na 800-1000 miejsc. Koszt budowy wyniesie według przewidyrań obliczeń ok. 20



„Martwa natura” (olej) Józefa Padego — jeden z obrazów umieszczonych na Wystawie Prac Młodych Plastyków. O wystawie oraz o dyskusji, która odbyła się tydzień temu, piszemy na stronie 2 „Nowego Świata” („Między nami — plastykami”).

mil. zł, a całe przedsięwzięcie zależne jest od władz centralnych. Tym niemniej obowiązkiem MRN jest wyszukanie odpowiedniego terenu dla umożliwienia rychłego rozpoczęcia prac dokumentacyjnych.

... i nowe dzielnice

Trzeba już dziś myśleć również o teatrze na prawym brzegu Warty. Jeśli na tam powstanie dzielnica o zaludnieniu 200-tysięcznym, łącząca eechy ośrodka przemysłowego, mieszkalnego, uczelnianego i sportowo-wypoczynkowego, nie do pomyślenia jest po zostawienie jej bez teatru. I nie o prowizorium chodzi, nie o salę naprędce przystosowaną, ale o normalny, dobrze wyposażony technicznie teatr na 500-600 miejsc. Już dziś trzeba tę pozycję wstawić do planów długofalowych.

Należy się spodziewać, że wyposażenie nowych bloków w sklepy, lokale zbiorowego żywienia itp. zostało dobrze zaprojektowane; jednak najwyższy, najwidoczniejszy odcinek szerokiego frontu upowszechnienia kultury, jakimi są czytelnictwo i biblioteki publiczne — został potraktowany po macoszemu.

W nowych kompleksach budowlanych nie przewiduje się na cele usług kulturalnych po mieszczeń na parterach. Stąd też wynika, że miasto nasze, o najlepiej może rozwiniętej terenowej sieci bibliotecznej w Polsce, nie ma punktów bibliotecznych w śródmieściu. Jedną wypożyczalnię przy ul. Zamkowej służyć raczej może za przykład, jak nie powinny wyglądać lokale biblioteczne.

Nie tylko zresztą o śródmieście chodzi. Brak podobnego lokalu odczuwa się w osiedlu przy ul. Chłociszewskiej. Nie wiem, czy przeoczyli go projektanci, czy też zaprojektowane lokale otrzymują innych użytkowników. Faktem jest, że rozbudowa Poznania w ostatnich latach niewiele Biblioteki Publicznej do pomogła, mimo iż instytucja ta stanowi przedmiot służnej dumy Poznania.

Wykorzystać pełnię możliwości

Z uznaniem należy podkreślić żywą akcję plombowania śródmieścia. Rodzi ona jednak dość istotny problem: — Czy projektanci tej zabudowy przewidują przystosowanie, przynajmniej w bardziej eksponowanych punktach miasta, dawnych elewacji?

Wszyscy jesteśmy zgodni w tym, że miasto nasze posiada tak piękne i szerokie perspektywy rozwoju, jak rzadko które miasto w Polsce. Życzyć o to nie należy, by perspektywy te zostały w pełni wykorzystane.

Na marginesie jednego artykułu

Nareszcie śmiało, prowokując co dyskusji uwagi. Nareszcie próba trzeźwego spojrzenia na to, co się dzieje w poznańskim środowisku kulturalnym, próba tym cenniejsza, że podjęta z pozycji tzw. zdrowego rozsądku, bez ucieczki w łatwiutkie uogólnienia, bez efektownych sloganów i lakiernictwa. Mowa o ogłoszonym niedawno w „Gazecie Poznańskiej“ artykule Jana Hlasko „Gdzie jest pies pogrzebany“.

Sens artykułu sprowadza się do takiego mniej więcej stwierdzenia: „Jest źle. I w teatrze, i w literaturze, i w plastyce. Nuda, jałowość, gnuśność — oto, co cechuje życie kulturalne Poznania“.

Ano, cóż — przykro, bo przykro — ale trzeba się pod tym podpisać oburacz. Tak niestety jest. Jedni mówią o tych sprawach po cichu, inni w ogóle nabrali wody w usta... Niedobrze. Mówić trzeba głośno i otwarcie. Jak jak Hlasko. Wprawdzie przejaśkrawił on niektóre zagadnienia (patrz: passus o literaturze), ale nawet w tym wypadku nie wyszedł poza ramy prerogatyw publicystycznych.

Nieco o kompleksach

Przyczyn gnuśności naszego życia kulturalnego Jan Hlasko dopatruje się między innymi w tym, że „w środowisku kulturalnym wyrosło i się szkodzi i niszczy w kompleks niskiej rangi spraw kultury“. Być może. Jeśli tak jest istotnie, wypada tylko złożyć niemy hold tym wszystkim specjom od spraw ducha, którzy właściwie miejsce dla kultury widzieli jedynie... w programach artystycznych zebrani i akademii. Wydać mi się jednak, że nie należy przeceniać wagi tego kompleksu. W większym stopniu wszelkie poczynania kulturalne paraliżuje w Poznaniu niewiara w możliwość wytworzenia jakiegokolwiek znośniejszego aury literacko-artystycznej. „Tu się, proszę was, nie uda, tu nie ma właściwej atmosfery...“. Ktoż wierzył w to, że Poznań jest w stanie utrzymać samodzielnie Teatr Satyryków, że zdobędzie się na kabaret literacki? Prawie nikt. Gdyby nie miała grupka ludzi przeciwstawiających się fali malkontentstwa i sceptycyzmu, a wymienionych wyżej imprez byłoby — nic! Bo tu nie ma atmosfery... Do licha, atmosferę wytworzą przecież ludzie w konkretnym działaniu, aparatów rozpalających atmosferę, jak dotąd, nie ma. Skończmy wreszcie z mistyką atmosferyczną i zjeżdżmy łaskawie na ziemię, gdzie przecież dla każdego znajduje się pole działania.

Organizatorzy Teatru Satyryków i kabaretu literackiego dowiedli w sposób bezsporny, że trzeba tylko mocno chcieć, a wtedy znajdują się ludzie i teksty na znośnym poziomie i wreszcie publiczność, wcale znów nie taka tępa i obojętna, jak twierdzą koneserzy atmosferycznych subtelności.

A więc — ludzie i jeszcze raz ludzie. Od nich wszystko zależy. Oni (czyż my sami) powinni wyrzucić na śmietnik pokutujące tu i ówdzie kompleksy, bo freudowskie skłonności nie tworzą nam atmosfery godnej trzystutysięcznego miasta.

Cicha woda brzegów nie rwie

Nasze życie kulturalne przy pomina cichą, stojącą wodę. Nie boicie się, brzegów ona nie rwie, o to nie ma obawy. Może sobie w Komedi Muzyce iść spokojnie „Bosman z Bajki“. Może nas Teatr Nowy fascynować, zaiste, nieświątynnym „Skapcem“, mogą młodzieńcy literaci błąkać się jak owieczki, a Teatr Satyryków korzystać z pożyczonej sali —

Tadeusz Haluch

nikogo to właściwie głębiej nie wzrusza.

Nikt w Poznaniu z nikim się nie kłóci, nie ma polemik, nie ma starcia poglądów, nie ma tej napiętej, fascynującej atmosfery, w której każde wystąpienie publicystyczne znajduje swój oddźwięk, w której żadna recenzja teatralna nie ujdzie autorowi na sucho, a każde śmielsze zdanie jest zapionem dyskusji. Nasi niektórzy publicyści sterylizują swoje artykuły do tego stopnia, że mimo najszczerzej chęci nie dojrzą między wierszami oblica autorskiego. Wszystko tu jest zapięte na ostatni guzik, obwarowane pewnikami, po prostu nie ma z czym i kim dyskutować. W tego rodzaju artykułach brak dwóch rzeczy: pałki i osobistego stosunku do omawianych spraw. Zgódźmy się wreszcie na to, że publicysta to człowiek, który oprócz umiejętności dobrego pisania ma również coś ciekawego do powiedzenia. Prześuwanie mdłej papki ogólników i truizmów, uprawianie cytologii na zimno, bez ideowej pałki może stworzyć jedynie publicystykę jałową i nudną. A bez ciekawej publicystyki nie znaczący nigdy tej spokojnej wody nagromadzonej w Poznaniu „po linii kultury“.

Sprawy bardzo istotne

Co uderza najbardziej obserwatorów naszego środowiska kulturalnego, to olbrzymia dysproporcja między stanem liczbowym ludzi potencjalnie i aktywnie twórczych a efek-

tywami ich pracy. Istotnie, nie brak w Poznaniu ludzi zdolnych, inteligentnych, ale dziwnie jakos nie odczuwa się ich obecności. Chcąc ożywić nasze życie kulturalne musimy wycofać wszystkie, jak to się mówi — utajone rezerwy. Tutaj wielką rolę ma do spełnienia prasa. Kto, choć pobieżnie zajmował się socjologią kultury, wie dobrze, jak doniosłą funkcję w rozprzestrzenianiu wartości kulturowych, w kształtowaniu opinii publicznej spełniały i spełniają tzw. ośrodki. Trzeba sobie szczerze powiedzieć, że jak dotychczas w sferze literacko-publicystycznej takiego ośrodka w Poznaniu nie było. A przecież redakcje „Widnokręgu“ i „Nowego Świata“ są chyba najbardziej predysponowane do odegrania roli ośrodków inspirujących wszelkie twórcze poczynania, grupujących wokół siebie ludzi parających się piórem itd.

Ramy tych dodatków powinny być szeroko otwarte dla każdej polemiki, dla każdego artykułu, z którym redakcja niekoniecznie musi się zgadzać, ale który wniesie bodaj jedną świeższą myśl do naszej szarzyzny kulturalnej.

One powinny zastąpić przynajmniej częściowo poznańskie czasopismo literackie, będące jak dotąd jednym z niespełnionych marzeń. Oczywiście równoległe z zmianą linii redakcyjnej naszych tygodniowych dodatków musi nastąpić zmiana ich charakteru. Ciekawostki, nowości z dziedziny techniki itp. mogą bez szkody dla pism znaleźć miejsce na innych łamach, a wtedy „Widnokrąg“ i „Nowy

Świat“ przestaną być magazynami rozmałości. Redakcje dodatków powinny poszerzać stale krąg współpracowników, rozciągnąć opiekę nad młodymi literatami, proponować opracowanie artykułów z dziedziny plastyki, muzyki, estetyki odpowiednim fachowcom, inicjować dyskusje, recenzować wszelkie imprezy kulturalne, ogłaszać konkursy — słowem — stać się twórcze i pełne, a nie cząstkowe odbicie naszych spraw kulturalnych. Rzecz jasna, nie jestem powołany do tego, aby kreślić zakres funkcji zespołów redakcyjnych „Widnokręgu“ czy „Nowego Świata“. Rzucam tylko luźne projekty w tym przeświadczeniu, że nie stoi na przeszkodzie ich realizacji. Twierdzenie, że wystarczy zmienić linie kierunkowe wspomnianych pism, a już znikną wszystkie bóle — traci absurdem.

Dlaczego w takim razie tak mocno podkreślam rolę prasy w kształtowaniu odpowiedniego klimatu kulturalnego?

Całkiem proste — w tym klimacie rzetelna, ideowa publicystyka jest momentem niesłychanej doniosłości. I jeśli ona rozkwitnie, będzie to dowód, że coś się u nas zmieniło na lepsze, że sławetna „atmosfera“, o której wszyscy marzą, przestała być mitem, że w naszym światku kulturalnym zaczął się twórczy ferment. Co, oby jak najszybciej nastąpiło, bo widok cichej, stojącej wody działa na nerwy jak... „Bosman z Bajki“.

„Między nami-plastykami“

Nie wydaje mi się ten tytuł najgorszy, choć odnosi się on do dyskusji nad Wystawą Prac Młodych Plastyków w CBWA. Odbiła się ona, dyskusja, w niedzielę o dobrej porze dnia, bo przed południem i, zdawałoby się, nie stało na przeszkodzie, żeby salon na Marcinkowskiego z trudem zdołał pomieścić wszystkich chętnych do wzięcia udziału w tym poranku plastyków.

Tymczasem miał on charakter spotkania artystów malarzy — rzeźbiarzy, po prostu „między nami-plastykami“ — z wyjątkiem kilku architektów (też sui generis plastycy), paru anonimowych gości i jednego przedstawiciela poznańskiej prasy.

Poza tym nie było ni literata, ni radiowca, ni młodzieży ze szkół plastycznych, ni studentów, ni... Należałoby w tym miejscu powiedzieć: no, trudno, lecz sadzę, że takie stwierdzenie absencji tych ludzi w niczym nie przyczyni się do polepszenia stanu naszych spraw życia artystycznego, kulturalnego, ba, społecznego. Obecność możliwie wszystkich zainteresowanych sztuką jest konieczna w takich dyskusjach, gdyż staną się one wtedy dopiero pozytywne i celowe. Możemy się mniej lub więcej znać na sztuce, możemy mieć może zbyt indywidualne spojrzenia na „artystyczny twór“ — nie o to chodzi; albo my, mniej znający się „na tym“, będziemy mogli się „czegoś“ nauczyć, albo też, mający coś istotnego do powiedzenia, wniesiemy do dyskusji pozytywne osady, rozeznania czy uwagi.

A zbyt szczupłe grono zebrane tydzień temu w CBWA musiało się siłą rzeczy „smaczyć w jednym tyglu“, co wcale nie znaczy, że to „smażenie“ nie wyszło dyskusji na dobre. Myślę tu o konfrontacji dwóch prac: Józefa Fligera „Martwa natura“ i Andrzeja Matuszевского „Portret B.L.“. Mówił o tych pracach art. mal. Stanisław Mrowiński („między nami-plastykami“), przy czym

wskazał na impresjonistyczne tradycje u Fligera, a „szukanie nowych dróg wypowiedzania się“ u Matuszевского.

Do gości zwrócił się prof. Lenica z prośbą o sprecyzo-



Andrzej Matuszewski — Portret B. L. (olej)

wanie wrażeń z tej wystawy. Mówił Twarowski, Felchnerowski i Hofmann — mówili artyści wprost od palet i sztalugi, od warsztatu, lecz brak było tych, dla których plastycy tworzą.

Nie wiem, jak rozprowadzono zaproszenia na ową dyskusję. Czy wiedzieli o niej urzędnicy i pocztowcy, metalurzy i młodzież ucząca się, aktorzy i inżynierowie? Nie wiem.

Stwierdzam jednak, że brak przedstawicieli różnych zawodów zubożył całą imprezę, która tym samym minęła się z zadaniem. Była to dyskusja typowo warsztatowa.

Pozwalam sobie jednak na sformułowanie pewnych własnych spostrzeżeń (fachowe pozostawiam krytykom) o wystawie samej. Pierwsze wrażenie, jeśli chodzi o „olej“, to pewna szarzyzna i mroczność, w których tu i ówdzie nieśmiało „położone“ czerwieni, błękit lub zieleni wydają się czymś mile oczekiwa-

nym. Jeśli jeszcze weźmiemy nie zawsze celny rysunek, to w bardzo ogólnym przekroju będziemy mieli podsumowane pierwsze wrażenia.

Dygresja, która się sama narzuca. Co tu dużo mówić: znacznie, ale to znacznie ciekawiej prezentuje się grafika. Tak też ją na dyskusji zgodnie określono. Wiemy zresztą, ile uznał zdobyli sobie poznańscy graficy na „rynku“ krajowym — i nie tylko krajowym.

Pozostawiając, jak już powiedziałem, fachową krytykę komu należy, nie mogę pominąć jednej sprawy, która się prosi, by o niej wspomnieć.

Józef Kaliszan wystawił rzeźbę (gips patynowany) „Pokój jest w naszych rękach“. Ta ujmująca praca przyciąga wzrok i szkoda byłaby duża, gdyby rzeźba, przedstawiająca „kobietę z gołębkiem w dłoniach“, wróciła do jakiejś czeluści artystycznego warsztatu. Przejdźmy się po naszym mieście z jego niezręcznymi zakątkami, po parkach i spacerowych alejach. Ubożuchno, poza „matką naturą“. A przecież posąg czy rzeźba, pomnik znalazłby tu na pewno najlepsze tło. I najwłaściwsze miejsce. (Czy pamiętacie „Ewę“ Wittygę na skwerze obok Opery w latach przed minioną wojną?)

Tak, Wydział Kultury przy Prezydium MRN — pomyslił leżać nie na ulicy, ale w pracowniach artystów. Urzeczywistnić te pomysły i przenieść je... na ulicę, do parków i na niejedne place.

Mimo niewielu słów zachwytów nad dyskusją w CBWA, trzeba uznać wartość tego rodzaju spotkań artystów, omawiających wzajemnie swe prace. Są to bardzo pozytywne godziny, o których wspomina się długo, które uczą i pogłębiają nas, pozwalają zrozumieć nowe, postępowe kierunki artystyczne i wzbogacają nasze pojęcie o sztuce, o kulturze narodowej.

I jeszcze jedno. „Cementują“ nas w społeczność świadomości swych pragnień.

T. H. NOWAK

DNI WYZWOLENIA

Dokładnie miesiąc, od 23 stycznia do 23 lutego 1945 roku, trwały niezapomniane zacięte walki o Poznań, które okryły chwałą bohaterską Armię Czerwoną i walczących u jej boku ochotników poznańskich.

Początkowo zdawało się, iż wojska faszystowskie opuszczą Poznań bez walki wobec dwóch głównych kierunków uderzeń Armii Czerwonej na południe i północ od Poznania. Dowództwo hitlerowskie zdecydowało jednak inaczej. Poznańowi kazano być twierdzą, która miała bronić Berlina. Chodziło o związanie znaczniejszych sił radzieckich przy oblężeniu Poznania, wstrzymanie tempa ofensywy radzieckiej dla lepszego zorganizowania oporu na linii Odry.

Obronę Poznania powierzył szef sztabu niemieckiego gen. Guderian, gen. majorowi Ernestowi Rudolfowi Matternowi, oficerowi jeszcze z armii cesarskiej. Mattern, przygotowując się do obrony, kazał ewakuować ludność cywilną. Wydane zostały dwie odezwy. Jedną z 21 stycznia, a gdy ta nie odniosła skutku, wydano 23 stycznia drugą, groźącą już represjami. Wówczas to około 30 tysięcy ludności opuściło miasto.

Dowództwo niemieckie zaczęło ściągać do Poznania wszystkie możliwe w jego zasięgu siły. Z zamierzonych 7 dywizji gen. Mattern otrzymał pięć, gdyż dwie przeniesione zostały dla obrony Odry. „Tagebuch des Abschnitts Warthe“ („Dziennik odcinka Warty“) podaje ilość wojska niemieckiego przeznaczonego do stawiania oporu w Poznaniu na 48 tysięcy.

Początkowy projekt przewidywał obronę Poznania na liniach zewnętrznych, ciągnących się przez Kostrzyn, Murowaną Gościnę, Mosinę, drugi projekt wytyczał linię opasującą miasto w odległości 12 km. Jednak dowództwo niemieckie musiało porzucić oba warianty wobec niedostatecznych sił i osłabionej morale wojska hitlerowskiego.

Wojska radzieckie ruszyły na Poznań z dwóch stron. Po zdobyciu Gniezna parla na Poznań armia generała pułkownika Kopańskiego, a od strony Wrześni sędzi bohaterski obrońca Stalingradu, gen. pułkownik Czuikow. Obie armie szerokim, żelaznym pierścieniem zaczęły okrajać miasto. Dnia 22 stycznia pierwsze pociski jego artylerii spadły w rejonie mostu Rocha.

Początek miesięcznych walk

Rozpoczął się ciężki, miesięczny bój o Poznań.

Pierwsze uderzenie nastąpiło 23 stycznia od strony wschodniej i zatrzymało się przed miastem, dwa inne, słabsze uderzenia przysły od strony Owińska i Czerwonaka. Były to manewry odciążające, gdyż tego dnia po południu nastąpił gwałtowny atak od strony południowej pod Szczepankowem. Wojska radzieckie sforsowały Wartę, wychodząc na drogę do Berlina. Do akcji na Poznań dowództwo radzieckie pozostawiło mniej więcej dwie dywizje.

Odtąd zaczynają się walki o każdą dzielnicę miasta. Natomiast radzieckie szło od południa. W niedzielę, dnia 28 stycznia przedmieścia Luboń, Dębice, Wilda, Górczyn zostały opasane. Nieprzyjaciela spychano coraz bardziej w głąb miasta. Odrzucił radzieckie równocześnie okrajały Poznań od zachodu i północno-zachodu. Miasto zostało przez wojska radzieckie otoczone całkowicie. Blisko 50-tysięczna armia niemiecka znalazła się w żelaznym pierścieniu, zwięzającym się z dnia na dzień, z godziny na godzinę.

Punkt ciężkości walk od 28 stycznia przeniósł się do południowo-wschodniej części miasta w rejon fortu Gróchmana, browaru Huggera, Domu Żołnierza i Domu Rzemieślniczego. Stopniowo cała lewa strona Warty aż do Łazienek Miejskich zdobyto. Hitlerowcy wycofali się na zachodni brzeg rzeki.

Zwycięskie posuwanie się wojsk radzieckich w mieście, zdobywanie jednej dzielnicy po

drugiej przeraziło Hitlera, który kazał Himmlerowi drogą radiową usunąć gen. Matterna, a na jego miejsce mianować obrońcą Poznania pułkownika SS — Goneile, dowódcę odcinka wschodniego miasta. Zmiana dowództwa nie zmieniła na lepsze sytuacji wojska hitlerowskiego, choć uczyniła walkę bardziej zaciętą.

Śródmieście

w stalowym pierścieniu

W pierwszych dniach lutego główny ciężar walk o Poznań przeniósł się na śródmieście. W walkach tych najbardziej uciążliwą budowlę świecką i sakralną, Hitlerowcy jako punkty oporu obierali gmachy zabytkowe polskie, jak Bibliotekę Raczyńskich, wieżę Starego Ratusza, wieże kościołów: Bernardynów i św. Marcina. SS-owcy urządzili sobie kwatery w klinice położniczej przy ulicy Polnej i w szpitalu miejskim przy ulicy Szkolnej.

Nieprzyjacieli wypierany zewsząd cofał się w kierunku na Cytadelę. Próbowali jeszcze oporu ostrzeliwując się ze Wzgórza św. Wojciecha, ustawiając broń na kościele Karmelitów, na Garbarach, a zwłaszcza przy nasypie kolejowym. Zacięty opór mijałszy jednak skutecznie wojska radzieckie. Miasto w połowie lutego było już wolne.

Rozpoczął się ostatni akt dramatu — walka o Cytadelę. Doskonale rozbudowana jeszcze za czasów cesarskich, a wzmacniona przez hitlerowców, Cytadela stanowiła poważny punkt oporu. Zepchnięte z całego miasta wojska niemieckie zamknęły się w Cytadeli w ilości ponad trzy dywizje.

Do współudziału w zdobywaniu zgłosiła się ludność polska, przezwąwszy robotnicy, rzemieślnicy i młodzież. Uczestnicy tych walk podają liczbę ochotników na 1500 osób. Dowództwo radzieckie podzieliło ochotników na trzy grupy: saperów, transportowców i szturmowców. Część ochotników już w walkach o miasto brała udział.

Los twierdzy przesądzony

W ciągu pierwszego dnia szturm 21 lutego artyleria radziecka zrobiła duży wylom w murze twierdzy od strony południowej. Przez wylom ten wdarła się jednostka wojska radzieckiego dokonując cudów odwagi i bohaterstwa pod silnym ogniem nieprzyjaciela. Za nią wdarł się drugi oddział. W nocy nieprzyjacieli podjął bezskuteczny kontratak. Wojska radzieckie zdobywały jedną pozycję po drugiej. Los twierdzy był przesądzony.

W nocy z 22 na 23 lutego rozpoczął się generalny szturm. Ostatnia zdobyta została radiostacja. Cytadela kapitulowała. Dowódca twierdzy gen. Gonella na oczach żołnierzy popełnił samobójstwo, a gen. Mattern do stał się wraz z 25 tysiącami żołnierzy i oficerów do niewoli.

W walkach o Poznań hitlerowcy stracili 23 tysiące ludzi. „Głos Wielkopolski“ — już wówczas od tygodnia się ukazujący — w nr. 8 z dnia 24 lutego pisał:

„Umilkły działo. Nie walczą już samoloty, ucichł huk zrzuconych bomb, gra karabinów maszynowych, zgasły pożary, rozszły się krwawe łuny chmur. Padła Cytadela — ostatni punkt oporu niemieckiego, najeżdźcy. Dziś na szczycie jej dumnie powiewa sztandar Armii Czerwonej; zatłoczone przez nieustraszonych bojowników.“

W walce o zdobycie Cytadeli straciło życie 156 poznańczyków, a 250 było rannych.

W niedzielę, 25 lutego, w wolnym Poznaniu odbyły się trzy wielkie manifestacyjne: na Placu Wolności, na Rynku Łazarskim i Wildeckim, z udziałem niezliczonych, promieniących radością mieszkańców miasta.

H. BARAŃSKI

Źródła: Zdzisław Grot — Studia Poznańskie. J. Gajewski „Głos Wielkopolski“ z 23. II. 1947 r., Dokumenta Oczepa'ionis, F. Róg-Mazurek: Poznańscy w walce o Cytadelę.

Wśród poszukiwaczy leczniczych skarbów natury

Marcinowej, której już starość wzrok nadwodziła, poradono, by jąda świeżą rutę.

— Zobaczcie babciu, oj, zobaczcie, jak wam oczy przeczyszczy.

Babcia dwa razy powtarzała sobie nie kazała. Bo czyż kiedyś nie zawieszała w wężelku nad łóżkiem anizy? Miał straszliwie sny odpędzać. Albo czy nie jadła liści koniczki? Przeciw czarom tej Dwiśi, co to, jak się gdzie pokazała, człowiek w chacie zaraz chorował.

Ludowa mądrość

Różne dziwy te zielska w sobie kryją — mawiała. A kiedy napotykała jakiegoś niedowiaraka, uroczyście wyjmowała swoje między bielizną strzępy pozółkłych kartek książek.

— Czytaj, dziewczeco, święta prawda tu napisana — mówiła.

„Ziółka widzimy, mocy i siły w nich nie widzimy, któreś dziwne rzeczy a niepodobne prawie sprawujemy, tak, iż żadna rzecz na świecie nie jest, która by przez ziola nie mogła

być sprawiona i uczyniona, że mocą ziół ludzie zniechęceni a strapieni boleściami ciężkimi, ku niepożądliwemu szczęściu zdrowia przechodzą, ślepi wzrok, głuchy słuch, chromi moc i siłę do chodzenia biorą, umarli na koniec ożywiali...“

Ta ludowa historyjka wywołuje dziś ironiczny uśmiech. Sam zresztą nie podjąłbym się, nawet z przysłowiową świeczką, aby uprawę rącznika przekazać cukrownikom. Trzy lata cukrownicy opiekowali się tą rośliną. Jednak chyba znacznie mniej umiejętnie niż przed z górą 40 wiekami (i wtedy znano już rycynus!). Czynie to, starożytni Egipcjanie. Trzy lata po prostu zmarowano dla rozwoju rącznika. Doszło znowu do tego, że rącznik zbierany w kraju, w większości nie nadawał się do przerobu. Na szczęście przed kilku miesiącami z powrotem oddano ziela-rom pod opiekę wychowaną przez nich roślinę. Spód hydraulicznej prasy, niemalym trudem zdobytej w czasie organizacji zakładu, tryska znowu olej rycynowy.

„Cukrownicze“ trudności

W tym radosnym dla pracowników Kłeki momencie, ktoś w ministerstwie zdecydował,

dach uprawy roślin leczniczych, rejonizacji upraw, mechanizacji czynności. Ale plan-tacje zielarskie nie mogą być same dla siebie plantacjami. Uprawa roli pod ziółta, ich pielęgnacja, utrzymanie licznej załogi wymaga „zaplecza“. Jest nim gospodarstwo rolne, dostarczające żywności, zwierząt pociągowych, nawozów. A ponieważ najlepiej jest, kiedy zbierane plody przerabiać można na miejscu, w Kłecie zbudowano — użyjmy śmiało tego wyrażenia — kombinat przetwórczy.

Produkcja herbatek

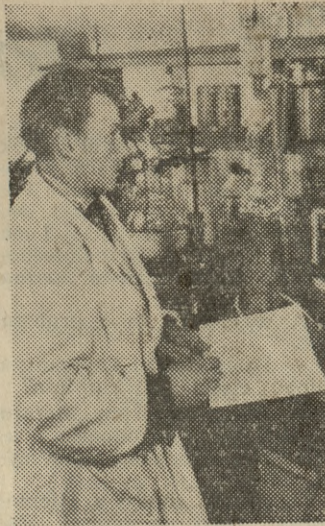
35% ogólnego arealu zajmują w Kłecie ziola. Te 35%, to 140 hektarów ziemi. To tyle, ile wynosi grunt wcale niezaopiekowanej spółdzielni. Za dwa lata będzie 200 ha ziół: mięty, kolen-dru, waleriany, biedrzyńca, gorczyki, ciemierzyca. Kto zresztą wie, jakie jeszcze „czarodziej-skie“ rośliny zadowolą się w tym czasie.

— Co robicie z tymi obrzy-mimi ilościami ziół? — pytam trochę oszołomiony wielością usłyszanych nazw, rzadko jesz-cze spotykanych w uprawie ro-słin.

— Zaopatrujemy wytwórnię farmaceutyczne. Macie więc różne herbaty. Przeciw choro-bom nerek — „Urosan“, wątroby — „Cholagoga“, przeciw zaburzeniom nerwowym — „Nervosan“. A poza tym sami przerabiamy. Podobny proces jak rącznik przechodzą u nas jabłka, z których otrzymujemy odżywkę dietetyczną — „Pomodol“, specjalnego gatun-ku („Saint Valéry“) marchew, z której produkujemy mączkę odżywczą — „Karotan“ i pro-witaminę A — jako uszlachet-niacz tłuszczów roślinnych.

„Niewiadoma x“ streptomycyna

Prawdziwą „niewiadomą x“ jest laboratorium. Nigdy pra-wie nie wiadomo, co jeszcze zo-stanie przyrodzie wydarte ja-ko cenny lek. Jeszcze w roku 1951 badawcze prace mgr. inż. M. Macielowskiej dały nieza-pomniany rezultat. Odkryto spo-sób otrzymywania asparaginy z białego słodkiego łubinu. Szkiełko z cennymi kryształka-mi tego produktu, służącego do wyrobu streptomycyny, skrzet-nie przechowywane jest w Za-kladzie. Tyle zrobili zielarze, a wyniki laboratoryjnych prób przekazali farmaceutom. Jeśli w niedługim czasie w aptekach pojawi się streptomycyna kra-jowej produkcji, będzie to rów-nież cichym sukcesem ziele-arzy. Tych z Kłeki. Albo sapa-nina — nowy a przy tym bar-dzo tani środek do napełniania gaśnic pianowych — jak to orzekła Główna Komenda Stra-ży Pożarnej. Narodziła się rów-nież tu, w Kłecie, w zacisz-nym większym laboratorium. Z owoców kasztana górskiego zyskuje się teraz jeden jeszcze



Prawdziwą „niewiadomą“ jest laboratorium. Najmłod-szy z zielarskiej „braci“ w Kłecie — Alojzy Grzesiak, absolwent Technikum Spo-żywczego w Legnicy, bada zawartość tłuszczu w wytko-kach rącznika.

— oprócz dekstryny — poży-teczny surowiec.

Dlaczego zakaża się żyto?

Sporysz — znana powszech-nie zaraza zbożowa, który nie-jednemu rolnikowi sporo ner-wów napsuł, jest niezastąpio-nym surowcem do wyrobu za-strzyków potrzebnych w gine-kologii. Cała trudność produk-cji tego leku polegała na uzy-skaniu potrzebnych ilości spo-ryszu. Farmaceuti, niczym par-tyzanci, śledzili pojawienie się tego szkodnika. Zielarze z Kłeki — a jest ich tyłu, ilu pra-cowników (nawet oborowy przyznaje się do tego zawodu) — postanowili uzyskać sporysz bez względu na kaprysy natu-ry. Jan Michalak, który prze-szedł tu wszystkie szczeble wielkiej drabiny zawodów — od robotnika rolnego do głów-nego mechanika — skonstruo-wał aparat do... zakażenia żyta sporyszem. W roku ubiegłym wyhodowano dzięki temu ćwierć hektara sporyszu na specjalnie w tym celu wysianym żywie. Próby uzyskały pozytywną o-cenę Państwowego Instytutu Surowców Roślinnych. Micha-lak przystępuje do budowy zbiornika konnego, co pozwoli na zwiększenie obszaru uprawy sporyszu.

Czarownica na ścianie

W przytulnej pracowniowej świetlicy, z zawieszonym na ścianie obrazu, groźnymi oczami spogląda, niosąc w rękach peki ziół — czarownica.

— Symbol przeceniania war-tości ziół — śmiejąc się mówi asystentka Tosia. Ostrożnie to określiła. Jak zielarz. Bo ziele-arze — choć nas, którzy, być może, nie zawsze ufamy w sku-teczność ziół, różne anegdoki zielarskie prawie zawsze śmie-szą — podchodzą do tradycji zielarskich, mimo wszystko z uszanowaniem.

— To, czym jesteśmy — mó-wią — zawdzięczamy pracy i doświadczeniom naszych przod-ków. Kontynuują dziś godnie ich dzieło.

T. KACZMAREK

Florian Miedziński

Historia wielce żalсна (bez brązu)

To, że tak trudno dowiedzieć się, jak dalece posunęły się sprawy z postawieniem wreszcie w Poznaniu pomnika Mickiewicza — wcale mnie nie dziwi. Bezpośrednio zainteresowani nią też nie bardzo bowiem wiedzą. Na szczęście, tajemnica nie istnieje dla człowieka parającego się z historią, sięgniemy więc przynajmniej do przeszłości.

Oto Towarzystwo Miłośników Poznania wystosowało do Miejskiej Rady Narodowej dość długi elaborat, w którym walczy o odtworzenie pomnika dawnego, dzieła Władysława Oleszczyńskiego. Nie będąc plastykiem nie osmielię się osądzać, jak dzieło sztuki można zre-konstruować na podstawie foto-grafii, kiedy w rzeźbie każde uderzenie dłuta jest indywidu-alne dla artysty.

Inna mnie jednak rzecz pa-sjonuje, mianowicie twierdze-nie, że społeczeństwo Poznania uważa wielce interesowało się pomnikiem. O tym zaintereso-waniu współczesnym będzie je-szcze mowa — okazuje się jed-nak, że i dawniej również nie było z tym lepiej. Zaszła na-wet w tym względzie historia wielce żalсна...

Stał sobie pomnik Mickiewi-cza, odsłonięty 9 maja 1859 r., wykonany z kamienia wapien-nego, bo na to tylko starczyło te „kilkaśet talarów (...) pozo-stałych po opłaceniu kosztów uroczystości“ obchodu żałob-nego ku czci poety w r. 1856. Wtedy nie lud, lecz obywatele „mienni“, czyli zamożni, decy-dowali o tych sprawach, w dniu odsłonięcia pomnika urza-dzili nawet ucztę w „Bazarze“ na cześć artysty-rzeźbiarza, ale o utrwaleniu jego dzieła w brązie nie pomyśleli.

Stał więc pomnik i byłby z czasem wagi może zupełnie rozkładowi — jak, po niewcza-sie, pisał „Dziennik Poznański“ z 27. X 1904 r. O pomniku po-myślał jednak pewien skromny obywatel, który nawet swe nazwisko zataił, przeto po-wnego jesiennego dnia 1904 r. wiele się zmieniło za kościołem św. Marcina, gdzie stał pom-nik. Według „Dziennika“, to ni-by co prawda niewiele, gdyż pisano, że „najstarszy z pomie-dzy pomników Wieszcza, po-znański, świeci już dziś na roz-szerzonym cokole“. — Nikt z największego miejscowego pi-sma nie poszedł widocznie na-wet zobaczyć, co stało się z pomnikiem, pisano więc tylko o „odnowieniu“, całej sprawie poświęcając zaledwie notatkę kilkunastu słów...

Mają rację paryżanie, któ-rzy twierdzą, że najlepiej na-sze miasto znać obcy. Tak by-ło i w Poznaniu. Jakiegoś „przybysza“ oburzyła cbojęt-ność poznańskich dla sprawy pomnika i (akurat!) w „Kurie-rze“ z 28. I. 1905 r. wyjaśnił ją, także ku naszemu korzy-ści. I tu się rozpoczyna odbrą-zowienie historii.

„Oczom moim — pisał mój nieznany informator — przed-stawiła się całkowicie nowa i wspaniała postać Wieszcza. Podczas kiedy dawniejszy pom-nik skromnie się przedstawiał, pomnik nowy swą okazałością...“

ka, prof. Władysław Marcin-kowski z Berlina, któremu fun-dator wykonanie całego pom-nika powierzył, wywiał się ze swego zadania nader zaszczyt-nie.“

A więc — do r. 1939 stał w Poznaniu nie odlew brązowy pomnika Oleszczyńskiego, jak niektórzy twierdzą jeszcze dziś, lecz odlew nowego o zupełnie pomnika, dłuta Marcinkowskie-go! Nie zmienia w tym niczego fakt, że Marcinkowski „za-trzymał (...) postać samą Wie-szcza według pierwotnego wzoru, gdyż w każdym razie było to już dzieło innego rzeźbiarza, który w dodatku nie był rze-mieślnikiem, lecz artystą o wła-snej indywidualności. — Toteż mój nieznany informator pisał 50 lat temu słusznie, że nowy zupełnie pomnik stanął, dzięki ofiarności pewnego rodaka, przebywającego całe prawie swe życie na emigracji. Jak informu-je Karłowski, szczerym wścibielem Mickiewicza, który pamiętał o jego pomniku, był rzeźbiarz...“

Dalej, znany wówczas archi-tekst poznański Roger Sławski, omawiając w „Dzienniku“ z 5. V. 1905 twórczość Marcin-kowskiego, pisał, że jest on twórcą pomnika Ledóchowskie-go w tunie, Słowackiego w pa-ku miłostawskim i MICKIEWI-CZA W POZNANIU.

Więc cóż? Zrobić kopię z po-mnika Oleszczyńskiego według dzieła Marcinkowskiego? W do-datku z fotografii? I zrobić podpis: „Oleszczyński, Marcin-kowski, fotograf „x“ i rzeź-biarz „y“?

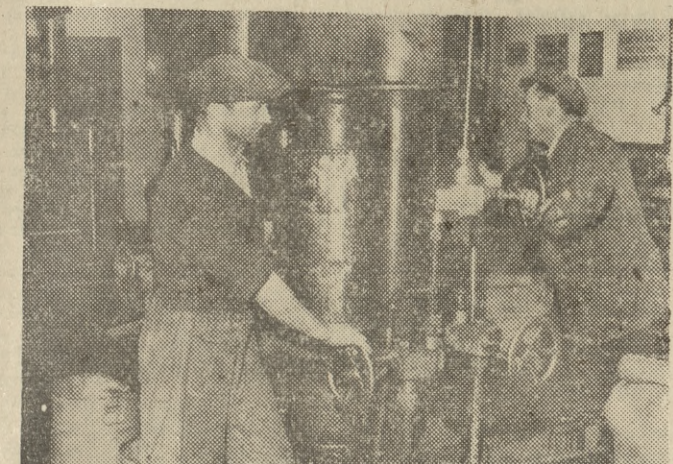
„Opinia tak cicha!“ — Czy tego dowodem ma być obecność aż 20 i pół chłopca w grudniu roku ub. na zwołanym do Ratu-sza publicznym zebraniu w sprawie pomnika Mickiewicza? W tym polowie stanowili rzeź-biarze u których pobudek przy-bycia — mimo mojej do nich sympatii — nie doszukiwałem się jedynie w sentymencie do Wieszcza.

Albo dość krytycznych uwag. Powinna być również samokry-tyka.

W końcu 1948 roku Szlag (Mitzner) wcale niesatysfakcyjnie obśmawiał nasze miasto w „Szpilkach“. Na lamach „Ga-zety Poznańskiej“ z 29. XII. 1948 r. odparłem atak i zakończyłem dumnie:

Oto „Rzeczpospolita“ po-stawiła Poznań na wzór Warszawy. Ze w Poznaniu nie zapomniano o Mickie-wiczu, że istnieje komitet budowy pomnika, że otwar-to wystawę projektów na pomnik, czyli słowem... pomnik będzie. Bez wiel-kiego gadania!

Tak to jest, przed naiwno-ścią żaden wiek nie chroni.



— Lepiej przypilnujesz — będzie więcej oleju. Jan Ka-spryk dokręca koło hydraulicznej prasy. Pracę jego kon-troluje główny mechanik — Jan Michalak (na zdjęciu z prawej).

być sprawiona i uczyniona, że mocą ziół ludzie zniechęceni a strapieni boleściami ciężkimi, ku niepożądliwemu szczęściu zdro-wia przechodzą, ślepi wzrok, głuchy słuch, chromi moc i siłę do chodzenia biorą, umarli na koniec ożywiali...“

Ta ludowa historyjka wywo-luje dziś ironiczny uśmiech. Sam zresztą nie podjąłbym się, nawet z przysłowiową świecz-



NASWIETLANE KURY — NIOSĄ WIĘCEJ JAJEK

W angielskiej stacji dla do-świadczeń rolnictwa przeprowa-dzono ciekawe próby z naswie-tlaniem drobiu. Nośne kury, na-swietlano dwa razy dziennie lam-pami o mocy 1500 watów przez 20 sekund, składają o 12 procent więcej jajek niż kury nie naswie-tlane.

DESKI CIĘTE — NIE PIŁO-WANE

W pewnej moskiewskiej fabry-ce maszyn skonstruowano nie-dawno nowy agregat do cięcia desek na skrzynki, który tym się różni od dotychczasowych, że cięcie odbywa się za pomocą no-żów, a nie pil. Agregat wycina w godzinie 6 do 7 tysięcy desek i oszczędza na materiale 10 do 15 procent, albowiem nie daje od-padków (trocin).

NOWY RODZAJ PAPY DACHOWEJ

wytworzyli technologowie czecho-słowacy. Materiałem wyjścio-wym jest tkanina szklana, na-pawana asfaltem. Kilka warstw tkaniny podczas schnięcia asfal-tu wiąże się ze sobą w mocny i nieprzemakalny materiał, wy-trzymały na wszelkie wpływy zewnętrzne (mróz, słońce, opady, dym itp.).

PRECYZYJNE GWINCIARKI W CZECHOSŁOWACJI

W przemysłowym miasteczku Gottwaldowo na Morawach zna-dują się fabryki maszyn do pre-cyzyjnej obróbki metali. np. do wyrobu zegarków. Na śrubkach o średnicy dwóch dziesiętnych milimetrów można naciąć gwint z dokładnością do trzech tysięcz-nych milimetrów.

FILM

W sprawie »Pokolenia«

Twórcami „Pokolenia“ są ludzie młodzi. Film w ogóle jest de-biutem. Nazwisko Andrzeja Wajdy (reżyser), Jerzego Lipmana (opera-tor) i Andrzeja Markowskiego (twór-ca muzyki) — widzimy na ekranie po raz pierwszy. Młodzi są również wykonawcy głównych ról: Łom-nicki, Janczar i Modrzyńska. Wypa-dałoby wobec tego zastanowić się, czy również rezultaty ich pracy w porównaniu z innymi naszymi filmami noszą jakieś cechy nowe, świeże — młode.

Bezspornie — tak. Odczuwa się w tym filmie szlachetną ambicję poruszenia głębszych strun u odbior-cy. Bohaterowie nie są tylko ilu-stracją założeń ideowych scenariu-sza; wypadki, które rozgrywają się na ekranie, przeżywają jak sprawy osobiste. A jednocześnie sprawy te pokazane są z pasją i żarliwością, które wykraczają daleko poza wy-miar osobistego przeżycia. Przez płe-kna metafore, skrót, uogólnienie — autorom udało się pokazać nie tylko dół, w którym dojrzało najmłod-sze pokolenie, lecz przede wszyst-kim sens tych dni, niezaprzeczal-ny romantyzm walki. Wspom-nijmy choćby zakończenie filmu, bardzo osobiste, kameralne niemal — a jednak daleko odbiegające od

złego patosu, zawierające kawał pra-wdy o osobistej klęsce Stacha — i jednocześnie całą prawdę o tym, że „człowiek nie umiera“.

W taki właśnie sposób chcieli autorzy „Pokolenia“ przenieść na e-kran książkę Bogdana Czeszki. Jed-nak na ogół debiutantom nie udaje się zrealizować swoich założeń w do-skonałej formie. W kształcie „Poko-lenia“ widać rysy i pęknięcia. Jest wiele scen naprawdę doskonałych — ale całość nie sprawia takiego wrażenia, na jakie czekaliśmy.

Spróbujmy zanalizować niektóre przyczyny.

Z Czeszki autorzy filmu wzięli na warsztat te wydarzenia, które roz-grywają się wokół Stacha. Jego wy-brali na postać pierwszoplanową, on reprezentuje młode pokolenie ZWM-owców stojących u boku komuni-stów do walki z okupantem. W ak-cję wprowadza nas autobiograficzny monolog Stacha. Atoli pomysłu tego nie zastosowano konsekwentnie przez całą długość filmu. Wygląda na to, że reżyser zapomniał o nim, pochło-nięty przez inne. Monolog Stacha powraca wprawdzie — ale wtedy odczuwamy go jako twór przyce-rlony sztucznie. Nie odgrywa już dramatycznie żadnej roli, nie mó-

wi nic ważnego — jest cieniem ak-cji, a nie jej uzupełnieniem.

Stach, Jasio i Dorota; — wyko-nawcy zagrali te role bardzo filmo-wo, to znaczy z oszczędnością mimi-ki i gestu, rysując postaci przede wszystkim „od wewnątrz“. Być mo-że, że Modrzyńska nie w każdej sce-nie dorównywała Łomnickiemu i Janczarowi, ale w sumie są to syl-wetki ciekawe, nie banalne. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że to nie Stach, lecz Jasio Krone jest bo-haterem filmu. Dlaczego? Wyda-je się, że spraw jest prosta: Jasio jest ciekawszy niż Stach. I to, że charakter bardziej zakłany, i to, że przeżywa więcej i nie tak jak można się domyślić. Jasio — to lin-ia poszarpana, pełna gwałtownych skoków. Stach — to kreska, wzno-sząca się prosto ku górze. Jasio jest taki, jaki po prostu jest. Stach taki, jaki być powinien. Od po-czątku widać, że to jego wybrano na bohatera filmu. A widzę tego nie lubi. Lubi natomiast — i ma prawo — do samodzielnej oceny i odnale-żenia bohatera na własną rękę.

Jeszcze o pomysłości reżysera. Nigdy nie wychodził on filmowi na złe. Odwrotnie — bodaj czy to nie brak pomysłów reżysera wpłynął zasadniczo na nieporadność takich filmów jak „Poście“ czy „Autobus odjeżdża 6.20“. Nie dobrze jednak dzieje się, kiedy obfitość pomysłów szkodzi jednolitości stylu. Na pracę reżyserską Wajdy wpłynęła bez-sprzecznie silna osobowość Forda,

który opiekował się zespołem reali-zatorskim. Jednocześnie widać wzor-y włoskie. A jedno i drugie może za mało przetrwawione w sobie, to znaczy u Wajdy.

Czuć trzeba żal, że szlachetna ambicja reżysera do unikania bana-lu (uwieczniona niejedną doskona-łą sceną) „poddaje się“ wyraź-nie w dwu wypadkach. Pierwszy — to scena, w której Sekula daje Stachowi wykład o wartości do-datkowej. Jest to niedobre uprosz-czenie (gdy chodzi o treść) i nie-dobry schemat (gdy chodzi o for-mę). Widać po prostu sfilmował również scenę, kiedy Dorota wer-buje młodych do ZWM. Jak to — pytamy — na schodach szkoły, wbrew podstawowym zasadom kon-spiracji?

O muzyce warto osobno. Odbiega ona od słyszanej dotychczas w pol-skich filmach — w dobrym tego słowa znaczeniu. Nie jest ilustracją — „gra“. Najlepiej widać to w peł-niej wymowy scenie, kiedy Abram, uciekinier z getta, odchodzi samot-nie w groźną okupacyjną noc, w wawozie zamkniętych na glucho do-mów.

Film publiczność przyjęła raczej chłodno. Zwykle widzi nie lubi oce-niać intencji. Jednak „Pokole-nie“ dowodzi, że mamy już o wiele więcej danych na to, by kreślić nie-schematyczne, naprawdę dobre i bar-dzo dobre filmy.

JANUSZ BINIEK

W sprawie zebrań (Głos aktywisty młodzieżowego)

Ja w sprawie zebrań. Mówicie — nuda... Nie! To nieprawda! Przykłady tu dam, iż niepotrzebnie wszczynacie wrzawę, że te zebrań są nieciekawe! Tak! Krytykować nikt nie zabrania, Dlaczego jednak zebrań???... Wszak atrakcyjne są ich tematy, A wy widzicie tylko negatywy!

By Was przekonać, zdołałem zebrać Piękny materiał z kilku tych zebrań. —



Referat — „Prądy w literaturze”
Wrażenie wśród nas wywołał duże.
Mówca dyskusję nakierunkował
W takich dobitnych, choć krótkich słowach —
— Chcę, by koledzy dyskutowali
— I potępił ten imperializm —
— Sherlocki Holmesy tudzież comicy
— I Ken Maynardy i te Tom Mixy,
— Whisky and soda i coca-cola,
— Spodnie zupełnie wazutkie w dole,
— Girlsy, girlaski, w prążki krawaty,
— I tym podobne inne tematy...

Lub „O współczesnym — referat — filmie”
Wpłynął na młodzież nadzwyczaj silnie.
Mówca dyskusję nakierunkował
W takich dobitnych, choć krótkich słowach —
— Chcę, by koledzy dyskutowali
— I potępił ten imperializm —
— Girlsy, girlaski i nóżki w „x”-y,
— I Ken Maynardy oraz Tom Mixy,
— Whisky and soda i coca-cola,
— Spodnie zupełnie wazutkie w dole,
— Sherlocki Holmesy, w prążki krawaty
— I tym podobne inne tematy...

Również referat był „O muzyce”
I na młodzież wpłynął oblicze.
Mówca dyskusję nakierunkował
W takich dobitnych, choć krótkich słowach —
— Chcę, by koledzy dyskutowali
— I potępił ten imperializm —
— Hot-jazz i samby tudzież comicy
— I Ken Maynardy tudzież Tom Mixy,
— Whisky and soda i coca-cola,
— Spodnie zupełnie wazutkie w dole,
— Girlsy, girlaski, w prążki krawaty,
— I tym podobne inne tematy...

Był też referat „Wrogiem jest nuda”,
Który nadzwyczaj dobrze się udał.
Mówca dyskusję nakierunkował
W takich dobitnych, choć krótkich słowach —
— Chcę, by koledzy dyskutowali
— I potępił ten imperializm —
— Spleen oraz nudę tudzież comicy
— I Ken Maynardy oraz Tom Mixy,
— Whisky and soda i coca-cola,
— Spodnie zupełnie wazutkie w dole,
— Girlsy, girlaski, w prążki krawaty
— I tym podobne inne tematy...

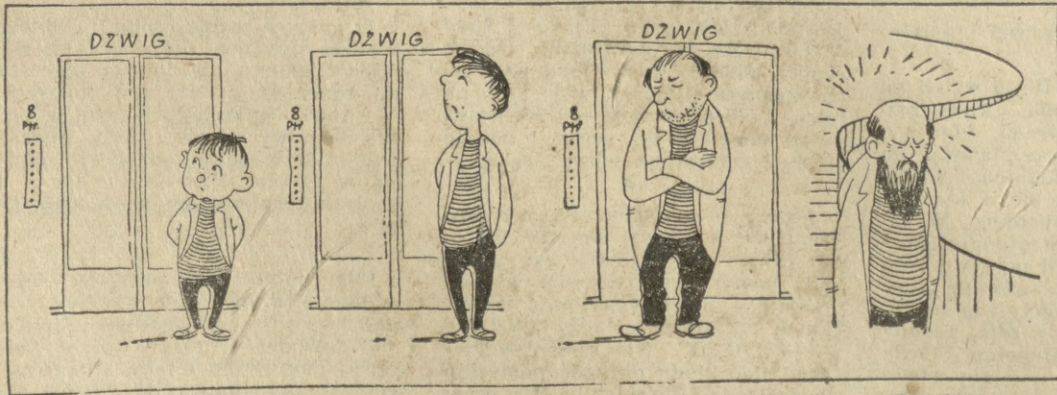
Anegdota

JESZCZE O G.B.S.

Na premierze komedii G. Bernarda Shaw, która osiągnęła niebywały sukces, jakiś przeraźliwy gwiazd przedziwiał



— Czy byłoby możliwe słuchać radia na księżycu?
— Ejże! Skąd weźmiesz taki długi drut na ziemiennie?



Smutna historia o jednym chłopaku, który chciał widać jechać w „pedeciaku”.
Rys. F. Śmielowski

To nie bajka...

Gość, który stał obok mnie w księgarni, wyglądał normalnie. Potem jednak okazało się, że jest uparty jak kozioł i ma zły stosunek do współczesności. Spotkała go za to słusna kara.

A wyglądało to z grubsza tak:

— Dzień dobry! Czy można kupić „Bajki” Mickiewicza?

— Nie prowadzimy literatury dziecięcej — odparła z uśmiechem młoda sprzedawczyni.

— Ale tu chodzi o Mickiewicza. Tego, co napisał „Pana Tadeusza”. Adam mu na imię — twierdził gość.

— Wiem, proszę pana. Niestety.

— Nie ma?

— Nie. Ale natch pan się nie martwi. Niech pan kupi Kuperczyka „W Grębocicach błysnęło”.

— Dziękuję, nie chcę Kuperczyka „W Grębocicach błysnęło” — rzekł facet i uśmiechnął się nieprzyjemnie.

Dziwny. Literatura współczesna się mu nie podoba?

— Z ciekawości udałem się za nim. Wszedł do innej księgarni i od razu zaczął upierać się znów o te bajki.

Sprzedawca uśmiechnął się marzytelnie.

— „Golono — strzyżono”, co?

— Właśnie! — ucieszył się gość.

— „Leszek i Mieszek”, „Lis i kozioł”, co? — ciągnął sprze

dawca z anielskim wyrazem twarzy. — „Już był w ogródku, już witał się z gaską, kiedy skok robiąc wpadł w bezkę wkopaną...”

— „gdzie wodę zbierano!” — dokończył facet triumfalnie. — Pakuj pan!



Sprzedawca spojrział nagle twardo i stanowczo.

— Nie pakuję. Nie ma! — warknął krótko.

— Jak to, nie ma?

— Normalnie — nie ma. Może dlatego, że dziś nikt z gaskami się nie wita, a skoki robi się nie w bezkę lecz w dal i na stadionie. Ale jeśli pana sport interesuje, mogę pojechać „Racjonalne oddychanie niemowląt” podstawą przyszłych zwycięstw w pchnięciu kulą.

— Nie mam niemowląt, nie oddycham racjonalnie, mam w nosie pchanie kulą! — ryknął facet i wypadł ze sklepu.

— Coraz gorzej — myślę. — Nie widzi wsi, nie docenia sportu! Ani chybi, element!...

Dziwne żądanie gościa wywołało w następnej księgarni konsternację. Wokół niego zebrał się cały personel.

— Radzimy, niech pan się zastanowi. To bardzo brzydko. Uwielbiliście się na nas. Niech pan się nie upiera. Pan jest z tej samej paczki, poznajemy po oczach. Pięć razy dziennie pyta o jedne głupie bajki to nieludzkie. My mamy nerwy. Weźcie Kaliksta Rabar barkiewicza „Zagadnienie mrówki w nurcie biologicznym Pana Tadeusza”. Bardzo się podciągniecie niż po tych „Bajkach”.

Facet miał łzy w oczach. No — myślę — teraz to już skruszał i przełamał się. Ale to był twardy ananas. Poszedł prosto do innej księgarni, wybałuszył oczy na sprzedawcę i wykrztusił o tych swoich bajkach.

— Pan ma synka czy córeczkę? — spytał sprzedawca.

— Dlaczego?

Księgarz popatrzył spod brwi.

— Wygląda pan na to, że ma pan synka. Jest. W sam

raz dla niego. W trwałej oprawie, nie zniszczy tak szybko. Siedem złotych.

Facet ucałował sprzedawcę, mnie i kilku innych ludzi, którzy mu się nawinęli pod rękę. Na ulicy rozerwał opakowanie i wtedy zauważyłem, że jego twarz przedłużyła się o kilka centymetrów. Wyglądał w tej chwili jak agent imperialistyczny w filmie polskiej produkcji. Podniosłem książkę, która wypadła mu z ręki. „Fitu - fitu, pełna skrzynia aksamitu — bajeczki dla naszej dziatwy, wybrane i opatrzone rysunkami przez Kamilę Wyjątkiewiczównę” — przeczytałem.

Gość jak szalony biegł w kierunku księgarni. I tutaj spotkała go kara. Z całej siły wyrzucił głowę w tablicę wywieszoną obok drzwi. Dobrze mu tak! Tyle książek się drukuje, a on upiera się przy swoim.

Spojrzałem na tablicę z wdzięcznością. Zauważyłem wówczas na niej napis:



Rys.
H. Derwich

Sklep nocny przy ulicy Ratajczaka otrzymał bardzo estetyczne wnętrza. Niestety — połowe sklepu zajmują obecnie olbrzymie sterty skrzyń z butelkami... po wodce.



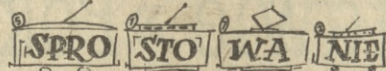
SPRZEDAWCA: — Skąd te narzekania? Przecież to jest podstawa wykonania naszego planu sprzedaży!

Traszk

Na upadek Mendes-France'a

I Dulles nie pomógł, i gwarancja —
Bo taki France — to jeszcze nie Francja.

(g)



Tramwaje jeżdżą w stadach? — sprostować wypada,
Boć jedna karawana — to jeszcze nie stada.

Jan Jakubowski

O pewnym poznańskim literacie

Dwóch ich spotkało raz się przy winie
I jeden cicho spytał drugiego:
— Cóż ostatnio wydał kolego?
Drugi zaś odparł: — Forse jedynie.

Janusz Wasylkowski

Pomysł

Wciąż na gołoleź brać narzeka,
O piasek od miesięcy prosi —
Ja na dozorców już nie czekam:
W kieszeniach wolę piasek nosić!...

Krzysztof Zieliński

Pewnemu

Umysł masz giętki filozofów wzorem —
więc go często zginaśz przed swym dyrektorem.

W. Scisłowski



„Eulenspiegel”